

M E R K U R I U S Z

5 / 2015

Wybory, wybory



Kandydat PiS Andrzej Duda zwyciężył w drugiej turze wyborów prezydenckich z wynikiem 52,0 proc. głosów. Urzędujący prezydent Bronisław Komorowski (popierany przez PO) uzyskał 48,0 proc.



Sprawozdanie zarządu Klubu Polskiego w Pradze za okres 9.2014 – 4.2015 w nawiązaniu na cały okres trzyletni

Zarząd pracował w składzie:

Alicja Skalska, Bibiana Szulc – Ach, Krystyna Olaszek – Kotýnek, Elżbieta Grosseová, Mariola Světlá, Teresa Šišmová, Wanda Malá, Krzysztof Jaxa – Rožen, Bogumił Kučera, Michał Chrzastowski, Kazimierz Towarnicki oraz Władysław Adamiec. Zarząd podzielił się funkcjami: prezes – Władysław Adamiec, wiceprezesa - Krystyna Olaszek – Kotýnek, Michał Chrzastowski, sekretarz - Bibiana Szulc – Ach, skarbnik – Elżbieta Grosseová. Komisja rewizyjna: Małgorzata Novák, Wojciech Sękowski i Miloš Zárybnický.

Od ostatniego zebrania sprawozdawczego ubiegł stosunkowo krótki czas, to w punktach tylko przypomnę jeszcze rok 2013, 2014.

- 1) W maju 2013 gościliśmy pana Zbigniewa Świącha – publicystę i historyka, który przedstawił swoje książki popularno – historyczne.
- 2) W czerwcu spotkaliśmy się przy ognisku w ogrodzie plebanii przy kościele św. Macieja. Na spotkaniu przypomnieliśmy sobie naszą koleżankę, panią Elwirę Kounovską, która krótko przed tym zmarła.
- 3) W listopadzie przedstawiliśmy wystawę pt. „Historia sportu polonijnego” zapożyczoną z Warszawy.
- 4) Na początku grudnia na nasze zaproszenie wystąpił teatr BAJKA z Cz. Cieszyna z przedstawieniem dla dzieci. W grudniu był też tradycyjny opłatek.

- 5) Na początku stycznia 2014 znowu mieliśmy okazję do spotkania z historykiem Romanem Baronem, który przedstawił swoją książkę „Ambasadorowie wzajemnego zrozumienia”. Spotkanie odbyło się w Instytucie Polskim.
- 6) W lutym już ustalony w naszym kalendarzu klubowym karnawał.
- 7) Tradycją już też można nazwać spotkania ze Szkolnym Punktem Konsultacyjnym im. Św. Jadwigi, na które to dzieci i młodzież przygotowują program. W kwietniu 2014 był nazwany „Warszawa – stolica naszych serc”.
- 8) W maju kto chciał mógł wziąć udział w uroczystościach, które przypominały urodziny św. Jana Pawła II nazwanej Karolkami. Msza i program był w kościele św. Idziego, o przygotowanie programu zatroszczyli się parafianie kościoła, znaczącą pomoc nieśli też członkowie Klubu Polskiego, wyróżnić trzeba zwłaszcza Michała Chrzastowskiego i Teresę Šišmovą.
- 9) Również w czerwcu 2014 bawiliśmy się przy ognisku w ogrodzie plebanii przy kościele św. Macieja.
- 10) W salach Nowego Ratusza na placu Karola miała wystawę jubileuszową Elżbieta Grosse, która częściowo była finansowana z grantu miasta stołecznego Praga dla Klubu Polskiego.
- 11) W listopadzie pedagogowie, młodzież i dzieci przygotowały program pt. „Dzień niepodległości” a pod koniec listopada w galerii DMN była wystawa „Klub Polski w fotografii”, o którą się zasłużyła i prawie że sama przygotowała Krysia Olaszek – Kotýnek. W tym miesiącu kolegowie z naszego klubu założyli kółko teatralne i prowadzeni przez reżysera pana Zbyszka Czerneckiego przygotowują sztukę Sławomira Mrożka „Na pełnym morzu”.
- 12) Rok zakończyliśmy, jak zwykle, spotkaniem opłatkowym.
- 13) Rok 2015 rozpoczęliśmy karnawałem, który przygotował i prowadził Kazimierz Towarnicki. W marcu Szkolny Punkt Konsultacyjny św. Jadwigi przygotował program przypominający poetkę i pisarkę Małgorzatę Strzałkowską.

Oprócz wymienionych wydarzeń członkowie Klubu Polskiego tradycyjnie spotykali się comiesięcznie. Tematyczne spotkania najczęściej przygotowywał Krzysztof Jaxa – Rožen.

Klub Polski prowadzi też dwa programy na dłuższą metę. Jednym z nich jest projekt GRUNDTVIG, który umożliwia zapoznanie się z życiem i działalnością polskiej emigracji w Niemczech, i na odwrót. W ramach tego projektu były trzy delegacje z KP w Berlinie i dwie delegacje z Berlina w Pradze, trzecia by miała być w najbliższych dniach.

Drugim projektem jest zbiór poloników praskich, teksty których będą służyć do zrealizowania publikacji. Materiałów jest już sporo (autorstwa Ewy Klosowej, Barbary Sierszuły, Krystyny Olaszek – Kotýnek, Krzysztofa Jaxy – Rożena, Andrzeja Magali), zaczynają się prace redaktorskie do opracowania publikacji. Zbiory archiwalne penetrowała świętej pamięci Alina Strížencová i Bibianna Szulc – Ach.

Pracą niebagatelną, często męczącą, są prace administracyjne i księgowość. Składają się na to rzeczy sukcesywne, przygotowania projektów związanych z działalnością i prowadzenie dokumentacji Klubu. Dokumentację Klubu, kronikę tegoż są pod opieką Krystyny Olaszek – Kotýnek, protokoły ze spotkań, zamawianie sali na spotkania to Bibianna Szulc – Ach, bieżące sprawy finansowe – Elżbieta Grosse, projekty ostatnio w dużej mierze Michał Chrzastowski, sprawy bankowe, okazyjne zakupy, zamawianie niektórych służb z poza Klubu i DMN przechodzą mymi rękami, co też jest połączone z prowadzeniem księgowości.

Już kilka lat przygotowujemy miesięcznik Merkuriusz Klubu Polskiego. Ludzi piszących do tego pisemka ostatnio ubyło. Najwięcej artykułów przekazuje Krystyna O. – K., redakcję i uzupełnianie staram się, jak umiem robić ja. Trochę brakuje uwag i reakcji dotyczących tematów, też poziomu tej czynności.

Nie powinniśmy zapominać też na czynność naszej sekcji Klubu Polskiego w Lysej nad Łabą. Po tym, co Dni Polskie w Lysé nad Łabą są, tak powiedziawszy, w zawieszeniu, nasze kontakty skurczyły się do kilku pojedynczych osób z Pragi. Każdoroczny zarys planowanych założeń sekcji zaznacza wszak, że i tam działają, są co miesięczne spotkania, czasami i częściej, z konkretnymi programami, w których warto uczestniczyć. Trzeba podziękować za tą działalność i zamiast krytyki obiecać pomoc.

W okresie, który omawiam pożegnaliśmy się z naszymi członkami. W sierpniu 2013 zmarł Otakar Skalski, w kwietniu już wspomniana Elwira Kounovská, w styczniu 2014 Božena Pudláková, w listopadzie też już wspomniana Alina Strížencová, a w kwietniu 2015 Sonia Stejskalová.

Opracował: Władysław Adamiec



Wspomnienia wojenne członkiń Klubu Polskiego

W ubiegłym miesiącu odbyło się w siedzibie Instytutu Polskiego w Pradze spotkanie, na którym dwie członkinie KP podzieliły się wspomnieniami z ciężkich przeżyć w czasie okupacji hitlerowskiej. Spotkanie zorganizował nasz Klub przy współpracy IP z okazji obchodów siedemdziesięciolecia zakończenia II wojny światowej. Pani Bibiana Szulc-Ach opowiedziała obecnym o swoim pobycie w obozie koncentracyjnym Auschwitz – Birkenau, dokąd jako jedenastoletnia dziewczynka została wywieziona wraz z matką z transportem cywilnych mieszkańców Warszawy w czasie Powstania Warszawskiego. W Auschwitz dostała się do dziecięcego obozu koncentracyjnego, gdzie przebywały przerażone, głodne, często chore z powodu zimna i okrutnych warunków dzieci. Wiele z nich nie przeżyło wojny, wiele do dziś nie może się otrząsnąć ze strasznych wspomnień obozowych. Okrutne, a dla wielu młodszych osób nieznane wydarzenia wojenne ukazał też wyświetlony film „My dzieci z łagrów”. Obecni na spotkaniu byli wyraźnie wzruszeni i przejęci - niektórzy nawet płakali.

O przymusowej pracy tysięcy Polaków w hitlerowskich Niemczech przypomniała obecnym pani Zofia Faiglová, która w czasie wojny została wywieziona do pracy w fabryce amunicji w Altenburgu.

Wspomnienia obu tych pań są umieszczone w dzisiejszym numerze Merkuriusza.

Klub Polski ma więcej takich członkiń, które w czasie wojny były na przymusowych pracach w Niemczech i które losy wojenne zaprowadziły po wojnie do Czech. Jest to pani Wiesława Jindrová (o jej losach wojennych wspomniałam w artykule poświęconym jubileuszowi dziewięćdziesięciu lat życia pani Wiesławy – Merkuriusz z 2014 r., nr 7), pani Stefania Novotná oraz zmarła niedawno pani Sonia Stejskalová.

Krystyna Olaszek-Kotýnek



Wspomnienia numeru 83600 (Bibianny Szulc-Ach)

W styczniu minęło 70 lat od oswobodzenia obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. W myślach dawnych więźniów tego największego i najgroźniejszego hitlerowskiego obozu zagłady na nowo ożyły te niedające się zapomnieć straszne przeżycia.

O pobycie i o warunkach panujących w Oświęcimiu (Auschwitz – Birkenau) już wiele napisano, a jest to tak tragiczne, że niełatwo sobie ten czas przypominać. Spróbuję opisać tylko moje pierwsze wrażenia z przyjazdu do łagru w dniu 12 sierpnia 1944 roku.

Wszystko zaczęło się już 30 lipca. Przerwane wakacje w Warce nad Pilicą, bo zbliżał się front i powrót do Warszawy, gdzie 1 sierpnia wybuchło powstanie. Podobno miało się zacząć o godzinie 16.00, ale w ulicy Nowogrodzkiej, gdzie mieszkaliśmy, naprzeciwko Poczty Głównej, strzelanina i zamknięcie ulicy było już o 15.30. W naszym mieszkaniu została moja mama, najstarsza siostra i siostra starsza ode mnie o cztery lata. Pozostałe trzy siostry, czynne w ruchu oporu, były gdzieś na swoich placówkach. Sama, zaczytana w drugim tomie „Potopu” Sienkiewicza, nie bardzo zdawałam sobie sprawę z powagi sytuacji i jej następstw. W pierwszych dniach powstania jeszcze działały telefony, wodociągi i gaz. Od kilku lat prąd w Warszawie włączano tylko wieczorem na dwie godziny. Po kilku dniach wyłączono telefony i elektryczność. W dzień i w nocy wybuchały pożary, palił się dworzec kolejowy w Alejach Jerozolimskich, nie ustawała strzelanina i bombardowania. Do piwnic, w których przebito przejścia do innych budynków, nie wolno było schodzić. Siedzieli tam żołnierze Armii Ukraińskiej współpracującej z Niemcami.

Ewakuacja

O moich starszych siostrach nie było żadnych wiadomości, kiedy 11 sierpnia rano przyszli żandarmi i SS z tłumaczem oznajmić nam, że o godzinie 12.00 wszyscy mamy zebrać się na podwórku domu i że nas będą ewakuować. Kto zostanie, będzie rozstrzelany. (Pewnie bali się, że będziemy pocztę ostrzeliwać.) Powiedzieli, że możemy wziąć ze sobą, co chcemy.

Prowadzili nas pod osłoną karabinów przez palącą się Warszawę, przez Pole Mokotowskie, na „Zieleniak”. Widziałam na ulicach i przed domami pierwszych zabitych Warszawiaków. Po kilku godzinach dotarliśmy do punktu zbiorczego „Zieleniak”. Tam już były zgromadzone tysiące mieszkańców Warszawy. Ponieważ nie było miejsca, wyprowadzili nas do stacji kolejowej pociągu podmiejskiego, cały czas pod osłoną karabinów. Pociągiem odwieźli nas do Pruszkowa, tam nas zaraz (to był już wieczór) załadowali do wagonów bydłęcych podstawionego pociągu towarowego, gdzie można było tylko stać. Bez wody i jedzenia. Całą noc i dzień ten specjalny pociąg dokądś jechał. Nikt

z nas nie wiedział, dokąd. Było gorąco. Wagony miały tylko małe, zakratowane okienka dające trochę światła i powietrza...

Było już ciemno, gdy pociąg zatrzymał się. Otworzyli wagony. Moja mama jęknęła: „O Boże, to Oświęcim.” Aufzejerki z psami poganiały nas na rampie wrzeszcząc: „Schnell, schnell!” Staruszki nie mogły nadążyć, padały, aufzejerki tłukły je po głowach i plecach gumowymi pałkami, psy rzucały się na padające kobiety, gryzły je i szarpały. Biegłyśmy. Mama trzymała mnie kurczowo za rękę, abym nie upadła. A wokół druty kolczaste, druty nabite elektrycznością i wieże strażnicze esesmanów. Dobiegłyśmy przed jakiś barak, gdzie kolumnę zatrzymano. Oddzielili mężczyzn i chłopców i gdzieś ich odprowadzili. Kobiety i dziewczynki zostały na miejscu.

Byłam tak śmiertelnie przerażona, że nie mogłam ani mówić, ani płakać. Wprowadzili nas do baraku, kazali rozebrać się do naga, a nasze przywiezione rzeczy z niemiecką dokładnością zapisali i wrzucili do papierowych worków wraz z dokumentami. Nie wiem, po co, bo ich nigdy więcej nie widziałam. Dzieci mogły zostać w butach, a ich letnie ubrania miały być odwszawione.

Wprowadzili nas do jakiejś dużej umywalni. Pod sufitem były umieszczone natryski. Kobiety zaczęły się modlić. To koniec, będziemy zagazowane! Czekaliśmy. Syreny ogłosiły alarm. Nikłe światła zgasły. Siedzieliśmy na betonowej podłodze. Nie wiem, jak długo, aż do odwołania alarmu. Z natrysków zaczęła cieknąć woda, ale tak krótko, że nikt się nie umył. I tak nie było mydła.

Wyprowadzili nas na dwór, gdzie leżał stos brudnych ubrań. Wolno było wziąć tylko jedną sztukę, albo sukienkę, albo koszulę. Było ciepłe, słoneczne, sierpniowe rano. Dostałyśmy coś do picia i kawałek chleba. Zaczęło się spisywanie transportu. Dostałam numer 83600 z czerwonym trójkątem i literą P wewnątrz. Od tej chwili już nie miałam imienia i nazwiska, tylko numer z oznaczeniem „więzień polityczny” (jedenastoletni!).

Życie w obozie

Pierwsze dni w K.L. Auschwitz-Birkenau były podobnie szokujące, jak przyjazd do obozu z Warszawy. Odłączono mnie od mamy i sióstr, które skierowano do innych bloków. Sama znalazłam się wśród dziewczynek w wieku do 15 lat, w bloku 16A (obecnie 13), lagier B II b. Przydzielono mnie na koję wraz z pięcioma młodszymi ode mnie dziewczynkami. Sądzę, że mogły być w wieku 6-9 lat. Były głodne, wychudzone, zrozpaczone z powodu rozłąki z mamusiami. Zupełnie zrezygnowane bądź płakały, albo spały. Nie miałam na nie żadnego wpływu. Nie wolno nam było wychodzić z baraku, ani chodzić po korytarzach. Siedzieliśmy w kucki, jak psiaki, na 2 m kwadratowych koi.

Początkowo wychodziłyśmy z baraku na apel ranny i wieczorny. Ustawione w dziesiątkach (aby łatwiej można było nas policzyć) na placu przed barakiem, w deszczu i błocie, musiałyśmy stać na baczność, nie rozmawiać i czekać na przyście niemieckich dozorczyń z psami, aby nas policzyły. Po rannym apelu znów szłyśmy na koje. Przynieśli nam jakąś lurę do picia. Trzeba było siedzieć cicho i czekać, co będzie dalej. Gryzły nas pluskwy, których były tysiące. Spałyśmy w sukienkach na prawie pustych siennikach, pod jednym kocem dla szóstki dziewcząt. Podczas dnia wolno było na tym kocu siedzieć. O myciu się mogłyśmy jedynie pomyśleć. Nie było wody, mydła, szczotki do zębów, ani nawet grzebienia. Żadna z nas nie miała papieru, ołówka czy książki, niczego. W południe starsze dziewczynki przynosiły w kotle supę. Była to woda z jarmuzem (jakieś zielone, pomarszczone liście). Czasami za ogon wyciągałyśmy z niej utopionego szczura, których sporo biegało po baraku. Głód jednak robi swoje i dlatego tę supę wszyscy jedli. Wieczorem przed apelem rozdali nam kromkę chleba, małą kosteczkę margaryny i marmoladę z buraków, bądź sztuczny miód. Potem następował apel wieczorny przed barakiem, często w deszczu i błocie. Gliniasta ziemia przylepiała się nam do butów. Było zimno. Po apelu mogły do nas przyjść nasze mamy. Też zabiedzone, głodne, ale mamy. Moje siostry wyjechały z transportem kobiet prawdopodobnie do Rzeszy (w głąb Niemiec). Byłyśmy już tylko dwie. Mama zachorowała i nie mogła do mnie przychodzić. Ten okres, chyba do połowy listopada, był najsmutniejszy. Dzień zrobił się bardzo krótki. Dokuczało nam zimno. Dostałyśmy jakieś cieplejsze odzienie, ale w zimnym baraku to było za mało. Moje letnie pantofelki rozpadły się i dostałam buty, ale każdy inny. Nie musiałyśmy wychodzić przed barak na ranne apele, ale tylko na wieczorne. Na drutach świeciły lampy, świeciły kominy krematoriów, a nad wszystkim dominował duszący zapach palących się ciał.

Widać było, że Niemcy chcą zlikwidować część obozu, bo niektóre baraki były puste. W naszym też ubywało dzieci. Zaczęły się różne choroby: świerz, szkarlatyna, zapalenie płuc i biegunki głodowe. Dziewczynki odprowadzone do pseudo szpitala, już do nas w większości nie wracały. W listopadzie przeniesiono nas do innego lagru nazywanego potocznie C. Prawdopodobnie po Cyganach. Barak był inaczej urządony, drewniany, a pośrodku stał piec. Trzypiętrowe koje były umieszczone dookoła ścian. W piecu paliło się, było trochę cieplej. Dostałam się na koję ze swoją najlepszą przyjaciółką,

Bożenką Krzywobłocką. Była ode mnie trochę starsza, miała może 15 lat. Mogłam z nią rozmawiać o wszystkim.

Promień nadziei

Od Bożenki dowiedziałam się, że Powstanie Warszawskie kapitulowało, a Warszawa leży w gruzach. Dzięki niej dostałam się z obozowej apatii, beznadziejności i poczułam, że musimy żyć i przeżyć. Przyszedł grudzień i widać było, że Niemcy czują zbliżający się front Armii Radzieckiej. Likwidowali lagier, burzyli baraki, krematoria, wywozili składy itd. Po apelu wieczornym mogłyśmy pójść do baraku naszych mam. I tak pewnego razu po apelu poszłam z Bożenką do baraku szpitala „rewiru”, gdzie leżała jej młodsza siostrzyczka Róża. Bożenka chciała wiedzieć, kiedy Róża do nas wróci. Bardzo uprzejma więźniarka, polska lekarka, powiedziała, że to kwestia kilku dni, ale my obie musimy wyjść, bo idzie dr Mengele. Wyszłyśmy, ale niestety musiałyśmy obok niego przejść. Na szczęście nie był nami zainteresowany. Tak więc zobaczyłam postrach obozu.

Ogłoszono likwidację lagru i nas, dzieci, wraz z naszymi mamami skierowano na wywóz do obozu w Niemczech. Miało to nastąpić w styczniu, w kilku mniejszych grupach. Zbliżało się Boże Narodzenie i grupa około sześciu dziewczynek z Zamościa, też umieszczonych w naszym bloku, postanowiła odegrać szopkę. Była Matka Boska, aniołowie, Dzieciątko Jezus (mały Kola, dziecię rosyjskiej więźniarki), św. Józef. Brakowało tylko kostiumów. Bożenka ujawniła swoje zdolności literackie i o Bożym Narodzeniu mówiła wierszem, nawiązując do warunków obozowych. Potem śpiewałyśmy kolędy. Szkoda, że nie było z nami naszych mam. To był chyba najjaśniejszy dzień mojego pobytu w obozie.

W Oświęcimiu byłam do 11 stycznia 1945. Tego dnia część kobiet z dziećmi wywieźli do Berlina, jako komando obozu koncentracyjnego Oranienburg.

Na koniec kilka danych statystycznych. W obozie koncentracyjnym Auschwitz – Birkenau zginęło ogółem 1 milion 100 tysięcy (niektóre źródła historyczne szacują tę ilość nawet na 1,5 miliona) więźniów. Największa ilość z nich tworzyła ludność narodowości żydowskiej pochodzących z różnych krajów. Drugą co do liczebności grupą zamordowanych w obozie więźniów byli polscy więźniowie polityczni – 75 tysięcy. Poza tym zginęło w obozie 15 tysięcy Romów, 12 tysięcy rosyjskich więźniów politycznych oraz 10 – 15 tysięcy więźniów różnych narodowości.

Bibianna Szulc-Ach (numer obozowy 83600)



Z okazji niedawnych urodzin Zosi Faiglovej

Zosia pomimo nie najmłodszego już wieku (jest nestorką Klubu Polskiego, którego członkowie są już przeważnie w wieku emerytalnym) prowadzi ożywione życie towarzyskie. Co najmniej dwa razy w tygodniu spotyka się w kawiarni ze swoimi przyjaciółkami, nie tak dawno chodziła jeszcze na zabawy taneczne i do dzisiaj jest wierną uczestniczką spotkań klubowych.

Przede wszystkim podziwiam jej wspaniałą pamięć i interesowanie się nie tylko powszednimi sprawami, ale też doskonałą znajomość historii Polaków podczas ostatniej wojny. Na ostatnim spotkaniu naszego Klubu zorganizowanym wraz z Instytutem Polskim w Pradze bardzo interesująco mówiła o swoich przeżyciach na robotach przymusowych w Niemczech.

Całe życie Zosi nie było monotonne – oprócz zwykłych rodzinnych radości było też wiele rozstań i bardzo dużo trudnych chwil.

Zosia urodziła się w 1923 roku w Pleszewie w licznej rodzinie przewoźnika konnego Andrzeja Jankowiaka, jako szóste z siedmiorga dzieci. Dzieci były wychowywane w duchu patriotyzmu, który zaowocował w czasie wojny, szczególnie w patriotycznej postawie dwóch braci Zosi podczas II wojny światowej.

Najstarszy z rodzeństwa – Florian, magister farmacji pracował aktywnie dla podziemia zaopatrując je z narażeniem życia w potrzebne lekarstwa i środki sanitarne. Początek wojny zastał go w Katowicach, skąd przedostał się do walczącej Warszawy i brał czynny udział w obronie stolicy działając w drużynie PCK przy transporcie rannych, gaszeniu pożarów oraz przy okopach ochronnych. Po kapitulacji Warszawy wrócił do Katowic i odtąd jego życie już na zawsze było związane z Górnym Śląskiem. Sytuacja Polaków na tym przyłączonym do Rzeszy terenie była bardzo trudna. Większość mieszkańców deklarowała narodowość niemiecką, a ci, którzy wpisali do dokumentów narodowość polską byli poddani licznym restrykcjom. Językiem urzędowym był dla nich język niemiecki, zakazane było zawieranie polsko-niemieckich małżeństw, Polacy nie mogli być właścicielami przedsiębiorstw i nieruchomości. Pan Florian po powrocie z Warszawy znalazł pracę w aptece w

Chorzowie. W czasie nocnych dyżurów przychodzili do niego miejscowi Polacy i łącznicy leśnych oddziałów po lekarstwa, które następnie trafiały do obozu zagłady w Oświęcimiu, do więzień, korzystali też z nich partyzanci. Za swoją działalność okupacyjną otrzymał w 1946 roku Brązowy Krzyż Zasługi. Po wyzwoleniu Florian Jankowiak z dużą energią i poświęceniem uczestniczył w organizowaniu pracy aptek na Górnym Śląsku i był działaczem Oddziału Katowickiego Polskiego Towarzystwa Farmaceutycznego. Za swoją działalność został uhonorowany Złotym Krzyżem Zasługi. Zmarł w 1988 roku.

Zosia z dumą wspomina również swojego drugiego brata – Ludwika, którego całe dorosłe życie było związane z portem gdyńskim, gdzie pracował jako portowiec, z zawodu mechanik - ślusarz. Wspomnienia wojenne, a szczególnie walki w obronie Gdyni wryły się głęboko do jego pamięci. Był jednym z tych żołnierzy Kępy Oksywskiej, którzy ocalili i towarzyszyli w ostatnich chwilach walki i życia bohaterskiego pułkownika Stanisława Dąbka – dowódcy Morskiej Brygady Obrony Narodowej i p.o. dowódcy Lądowej Obrony Wybrzeża, awansowanego pośmiertnie na generała brygady. Już pierwszego lipca 1939 roku Ludwik otrzymał kartę powołania na ćwiczenia wojskowe w 2 Morskim Batalionie Strzelców w Redłowie. Zadaniem plutonu, do którego został przydzielony było umacnianie Orłowa – robili zasieki w Orłowie i pobliskich lasach. W ostatnich dniach sierpnia Ludwik został dowódcą drużyny zaopatrzenia pionierów z Pułku Morskiego. Podlegały mu zaprzęgi konne, samochody i taksówki oraz uzbrojenie parku saperskiego. Pierwszego września otrzymał rozkaz opuszczenia Redłowa z całym swoim taborem i udanie się do Witomina. Polscy żołnierze bohatersko bronili Gdyni, ale przewaga ilościowa i techniczna wojsk niemieckich zmusiła do poddania się miasta w dniu 14 września a polskie oddziały otrzymały nakaz odwrotu na Kępę Oksywską. Tam też wraz z taborem przesunął się Ludwik. Kępa Oksywska bohatersko broniła się jeszcze do 19 września. W walkach poległo tutaj około 150 żołnierzy pułku a 250 zostało rannych. Ludwik Jankowiak wraz z pozostałymi żołnierzami został wzięty do niewoli.

Przeżycia Zosi w pierwszych tygodniach wojny były ściśle związane właśnie z Ludwikiem. Szesnastoletnia Zosia spędzała ostatnie przedwojenne wakacje w rodzinnym mieście na zabawach z beztroskimi jeszcze koleżankami i kolegami. Wiadomości o agresji hitlerowskich Niemiec i możliwości wojny docierały do młodzieży jako coś odległe, coś, co nie może dotyczyć ich bezpośrednio. Wtedy to do rodzinnego miasta przyjechał w odwiedziny brat Zosi - Ludwik, mieszkający w Gdyni przy ulicy Starowiejskiej. Pobyt Ludwika w Pleszewie był jednak bardzo krótki – zaraz po przyjeździe dostał telegram o mobilizacji i musiał wracać do Gdyni. Namówił Zosię, aby pojechała tam razem z nim i zaopiekowała się jego mieszkaniem podczas jego skoszarowania w koszarach 2 Morskiego Pułku Strzelców w Redłowie. Zosia po tygodniowym pobycie w pustym mieszkaniu brata odjechała do rodziny do Kartuz. Stamtąd wróciła do mieszkania Ludwika w Gdyni tydzień przed wybuchem wojny. Po kapitulacji Gdyni rodzina wzywała Zosię do powrotu do rodzinnego Pleszewa, ale nie było to łatwe. Kilka dni musiała czekać na przepustkę zezwalającą na podróż. Potem nastąpiła podróż, która trwała tydzień. Zapchane pociągi towarowe, wielogodzinne czekanie na postojach w Tczewie, Bydgoszczy. W Bydgoszczy Zosia po raz pierwszy spotkała się bezpośrednio z okrutnościami wojny – dowiedziała się o rozstrzelaniu przez plutony egzekucyjne Wehrmachtu w publicznych egzekucjach na Starym Rynku około 600-800 Polaków. W Poznaniu znowu długi postój i jazda pociągiem przez prowizoryczny most przez Wartę. Pociągi z Poznania jechały tylko do Leszna, stamtąd po przespaniu na dworcu dalsza podróż do Ostrowa Wielkopolskiego. Tu spotkało ją szczęście - zauważyła wóz konny z Pleszewa i tym dostała się do domu rodzinnego. Dzielna dziewczyna całą tę bardzo trudną podróż odbyła ciągnąc z sobą ciężkie bagaże – ubranie i cenniejsze rzeczy z mieszkania brata.

Po powrocie do Pleszewa pomagała rodzicom w pracy w dużym ogrodzie ojca i w innych pracach domowych. Kiedy miała 19 lat dostała wezwanie na przymusowe roboty do Niemiec. Ojcu kilkakrotnie udało się załatwić zwolnienie Zosi od wyjazdu, ale w końcu została wezwana na gestapo w Jarocinie, gdzie zagrożono jej wywozem do obozu koncentracyjnego. Wraz z koleżanką udała się więc do Poznania, gdzie przebywała dwa dni w obozie przejściowym, a stamtąd wywieziono ją do Niemiec z transportem około 60 Polek pochodzących głównie z Pomorza, Inowrocławia, Mogilna. Po długiej, z kilkoma przerwami podróży dostała się do Altenburga do pracy w fabryce amunicji. Pracowali tutaj robotnicy z wielu podbitych przez hitlerowców krajów. Wszyscy mieszkali w wielkich halach (oddzielnie mężczyźni i kobiety) na terenie fabryki. Hala była rozdzielona na segmenty, oddzielnie dla każdej narodowości. Pracownicy mogli wychodzić za teren zakładu, ale mieli zakaz chodzenia do miejsc publicznych przeznaczonych tylko dla Niemców. Wszyscy Polacy musieli mieć przypięty do ubrania znak „P”. Młode dziewczyny jednak często chowały ten znak i

próbowały wejść do restauracji lub kina. Raz w miesiącu była odprawiana na terenie zakładu msza święta dla robotników – była to cicha msza, bez śpiewów i bez kazania. Z początku praca, którą Zosia musiała wykonywać była bardzo ciężka. Miała jednak szczęście i wkrótce po tym została przeniesiona do lżejszej pracy, przy kontroli jakości gotowych wyrobów. W drugiej połowie 1944 roku Zosia dostała się do pracy w hali, gdzie produkowano części zamienne i matryce do urządzeń fabrycznych. Tutaj „wpadła w oko” młodemu Czechowi – Antonimu Faiglowi, który tutaj był również na robotach przymusowych.

Pod koniec 1944 roku na terenie fabryki zorganizowano obóz koncentracyjny, w którym przebywali Polacy wywiezieni z Warszawy po Powstaniu Warszawskim. Ich warunki były znacznie gorsze, a wszelki kontakt z nimi był zabroniony.

Pod koniec wojny Antoniemu wraz z kilku kolegami udało się uciec z powrotem do Czech. Nie zapomniał jednak o ładnej Polce, pisał do niej zakochane, romantyczne listy planując wspólną przyszłość.

15 kwietnia 1945 roku obóz został wyzwolony przez Amerykanów. Tym nie skończyła się jeszcze wojenna tułaczka pani Zofii. Po wyzwoleniu Altenburga Zosia dostała się do Gery, a następnie do Darmstadt. Tam przez pewien czas pracowała w organizacji UNRA i dopiero w październiku 1945 odjechała z transportem wiozącym Polaków do Polski. Jechali przez Pragę i tutaj Zosia wysiadła i udała się do Vínohrady do rodziców Antonina, przez których została bardzo serdecznie przyjęta. Były jeszcze różne perypetie urzędowe, ale w końcu 21 kwietnia 1946 roku odbył się w Czechach ślub Zosi i Antonina. Zaraz po ślubie mąż dostał wezwanie na pięciomiesięczne ćwiczenia wojskowe, a Zosia pojechała w tym czasie do Polski do rodziców. Powrót do Pragi nie obył się bez komplikacji, ponieważ Zosia, która otrzymała obywatelstwo czeskie nie czekała z wyjazdem do Polski na otrzymanie paszportu i wyjechała na pozwolenie krótkoterminowe, a w Polsce przybywała przez pięć miesięcy. Jednak dzięki pomocy brata – Floriana, wszystko dobrze się skończyło i młodzi małżonkowie zamieszkali w Chomutowie, gdzie pan Antonin, z zawodu technik – chemik otrzymał mieszkanie i pracę. Po 10 latach państwo Faiglowie przeprowadzili się do Pragi, ponieważ pan Antonin otrzymał pracę na ministerstwie.

Zosia ma trzech synów. Kiedy najmłodszy z nich miał 4 lata, Zosia zaczęła pracować w gastronomii, początkowo, jako kelnerka, a wkrótce potem objęła stanowisko kierownicze. W 1974 roku zmarł na zawał serca mąż Zosi. Zosia już nie wyszła po raz drugi za mąż, ale ma grono przyjaciółek, z którymi chętnie spędza czas.

Synowie Zosi, chociaż mieszkają poza Pragę, bardzo się troszczą o mamę. Chętnie też jeżdżą z nią do Polski, do rodziny. Zosia ma też czworo wnucząt, dzisiaj już dorosłych, które ją odwiedzają.

Zosiu, życzymy Ci, abyś jeszcze długo była tak pełna życia i nie straciła wszechstronnej ciekawości świata!

Krystyna Olaszek-Kotyńek



Pani Stefania

Pani Stefania Novotná, z domu Kuziora, jest członkinią Klubu Polskiego w Pradze od samego początku jego zaistnienia na nowo – w spisie członków ma numer ewidencyjny 11. Chociaż stan zdrowia i podeszły wiek (w tym roku będzie obchodzić piękny życiowy jubileusz) nie pozwalają Jej na branie udziału w naszych spotkaniach, to jednak nadal interesuje się naszą działalnością. Córka pani Stefanii – pani Venuše Formánková, pomimo bardzo licznych obowiązków rodzinnych stara się, chociaż na chwilę wpadać do Klubu. Od niej dowiedziałam się też trochę szczegółów o życiu pani Stefanii.

Pani Stefania urodziła się 15.10.1925 roku w malowniczej wiosce Kuziory - Jaskowice na Podkarpaciu. Zaraz na początku okupacji hitlerowskiej została wywieziona na roboty przymusowe do Mistelbachu w Austrii. Na opłocnym terenie z drutem kolczastym pracowała tutaj w bardzo ciężkich warunkach duża grupa młodych ludzi (często jeszcze dzieci), wśród których byli Polacy, Rosjanie, Żydzi i Francuzi. Byli zmuszani do pracy w gospodarstwie rolnym, na polu i w lesie. Stefania, piętnastoletnia wówczas dziewczynka musiała pracować tak jak dorośli. Na szczęście była dobrze fizycznie zbudowana i mimo ciężkiej pracy przeżyła wojnę. Austriaccy gospodarze nie znęcali się fizycznie nad zniewolonymi pracownikami, ale traktowali ich, jako gorszą rasę, zmuszali do ciężkiej pracy od rana do wieczora, byli bardzo rygorystyczni i nie nawiązywali bliższych kontaktów. Postrachem byli żołnierze niemieccy, którzy często przychodzili na kontrolę do bauera oraz prowadzili kontrolę na ulicy. Za najmniejsze niedociągnięcia bezlitośnie bili swoje ofiary. Stefania

miała między Polakami przyjaciela – podczas kontroli ulicznej został na jej oczach zastrzelony przez Niemca. Polacy mieli obowiązek stałego noszenia na ubraniu znaku „P”. Kiedyś podczas pracy w czasie wielkiego upału Stefcia zdjęła bluzkę z przyszytym na niej znakiem. Zobaczył to Niemiec i dziewczynie z wielkim trudem udało się wytłumaczyć i uniknąć ciężkiej kary, a może nawet śmierci.

W lasach, w których pracowali, błąkało się dużo samotnych dzieci żydowskich. Kiedyś Stefania podczas pracy spotkała błąkającą się w lesie żydowską dziewczynkę, starającą się skryć przed niemieckim patrolem. Zapamiętana z dzieciństwa zabawa z rodzeństwem w chowanego w kuziorskich lasach teraz uratowała małą Żydówkę od śmierci – Stefania ukryła ją pod kłodami ściętych drzew. Wspomnienie dziecięcych zabaw w lesie w rodzinnej wsi było i jest do dzisiaj dla Stefanii bardzo bolesne – zginęła wtedy najmłodsza siostra Milka, którą przygniotła zsuwająca się kłoda. Tym razem, w lesie mittelbachskim, dzięki temu wspomnieniu udało się jej ocalić inną, żydowską dziewczynkę.

Pod koniec wojny w czasie nalotu zginęła cała rodzina gospodarzy, u których Stefania pracowała. Stefanię przed śmiercią w czasie bombardowania uratował zabity przez bombę koń, który spadł na idącą dziewczynę – do dzisiaj ma na twarzy ślad rany od kopyt końskich.

Grupa Polek, wśród których znajdowała się również Stefania, uciekła z Mistelbachu nie zabierając z sobą na wypadek kontroli dokumentów. W okolicy Nowego Jiczyna zostały zatrzymane przez Niemców i do końca wojny pracowały na Morawie. Po wojnie Stefania udała się do Pragi – do dzisiaj pamięta, jak wraz z innymi tańczyła na Placu Waclawa - szczęśliwa, że wojna się skończyła. W Pradze zapoznała się ze swoim przyszłym mężem. Pan Novotný, urodzony w 1921 roku był podczas wojny na robotach przymusowych w Jenie. Po ślubie państwo Novotni zamieszkali w Pradze.

Dla córki pani Stefanii – Venušy, opowiadania Mamy o tym wszystkim, co przeżyła w czasie wojny są przerażające i budzą wielkie współczucie. Trudno się pogodzić z tym, że ludzie mogą ludziom zgotować taki los.

Pani Venuše wraz z mężem odwiedziła po aksamitnej rewolucji miejsce, w którym przebywała na robotach przymusowych jej Mama. Teren bywałego obozu był jeszcze częściowo otoczony murem, z drutem kolczastym. Miejscowi obywatele nie chcieli mówić o tym, co znajdowało się w Mistelbachu podczas wojny, tłumacząc się, że o niczym nie wiedzą.

Krystyna Olaszek-Kotýnek



Odeszła od nas na zawsze Sonia Stejskalová

W ostatnich latach Sonia nie brała już udziału w naszych spotkaniach klubowych – nie pozwalał Jej na to podeszły wiek i narastające problemy zdrowotne. Jednak nadal interesowała się czynnością Klubu, którego członkiem była prawie od samego jego odrodzenia. Na spotkaniach z zaprzyjaźnionymi paniami z Klubu (spotkania te odbywały się w pobliżu miejsca zamieszkania Soni) chętnie wspominała wspólnie spędzone chwile.

Zycie pani Soni (a szczególnie najpiękniejsze lata młodości) nie było łatwe – II wojna światowa i wejście hitlerowskiego okupanta do Polski całkowicie przekreśliło dziewczęce marzenia.

Sonia Stejskalova urodziła się 30 stycznia 1919 roku w miejscowości koło Leżajska, w dzisiejszym województwie podkarpackim. 13 września 1939 roku ta młoda, beztroska dotąd dziewczyna zetknęła się nagle z ponurą rzeczywistością - na terenie gminy Leżajsk rozpoczęła się okupacja hitlerowska. Licznych mieszkańców gminy pochodzenia żydowskiego likwidowano z tych terenów, wypędzając większość z nich poza pobliską linię demarkacyjną, do sowieckiej strefy okupacyjnej, a pozostałych rozstrzeliwano na miejscu lub wywożono do obozów koncentracyjnych. Odbyły się liczne aresztowania miejscowej inteligencji polskiej, zaczęły się masowe nakazy wyjazdów na roboty przymusowe do Niemiec.

Sonia również nie uniknęła wywiezienia do Niemiec. Najpierw pracowała u bauera we wsi na terenie Turynгии. Praca była bardzo ciężka, a zwłaszcza dokuczały bardzo złe warunki zakwaterowania – Sonia mieszkała na strychu budynku gospodarczego, gdzie nie było dobrego oświetlenia, pomieszczenie nie było ogrzewane, często w zimie budziła się pokryta warstwą szronu. Jedzenia też gospodarze skąpili. Wreszcie udało się jej stamtąd zbiec i mimo strachu ze złapania przez gestapo dostała się do Berlina, gdzie przydzielono ją do pracy w zakładach Siemensa. Chociaż praca też była ciężka, ale przynajmniej nie groziła jej śmierć z wycieńczenia. U Siemensa poznała swojego przyszłego męża – pana Josefa Stejskala. W Berlinie przeżyli grozę ostatnich dni wojny. W pobliżu miejsca ich pobytu znajdował się bunkier Hitlera. Po wojnie Sonia nie wiedziała, co ją czeka w

zniszczonej przez wojnę Polsce i zgodziła się pojechać wraz z panem Josefem do Pragi. I tutaj znalazła swój drugi dom. Państwu Stejskalom urodziły się dwie córki – starsza Maria i młodsza Zdenka. Niestety, pan Josef w wieku 58 lat zmarł na zawał serca i Sonia przez resztę swojego długiego życia pozostała wdową.

Praca zawodowa pani Soni była związana z Teatrem Realistycznym na Smichowie, gdzie pracowała przez 37 lat prowadząc bufet. Pod koniec życia zamieszkała wraz z córką Marią. Doczekała się dwóch wnuków i 4 prawnuków.

Zmarła w czwartek 23 kwietnia 2015 roku na zapalenie płuc.

Osobiści najbardziej pamiętam Sonię ze wspólnego spaceru po Pradze, przed jakimiś 10 – 12 laty. W piękny wiosenny dzień urządziłyśmy sobie wraz z Sonią, Zosią Faiglową i nieżyjącą już Oleńką Krauzową wycieczkę na Petřín i na Strachov. Sonia została w mojej pamięci, jako osoba miła, przyjaźnie nastawiona do ludzi, ciekawa świata.

Nie możemy o Niej zapomnieć!

Krystyna Olaszek-Kotýnek



Z A P R O S Z E N I E

*Następne spotkanie (ostatnie przed wakacjami) Klubu Polskiego odbędzie się
przy ognisku*

*w sobotę, 20 czerwca 2015 o godz. 16.00,
w ogrodzie plebanii kościoła Świętego Macieja, U Matěje 198/2,
w Pradze 6 – Dejvicach*

*Ze stacji metro Hradčanská albo stacji tramwaju Bořislavka autobusem 131, wysiadamy na
przystanku autobusu U Matěje.*

Jak zawsze pod hasłem: „Każdy gościem, każdy gospodarzem”



Hlavní město Praha a Slovenské združenie Limbora ve spolupráci s:
ETNICA, Klub Polski, Anima Artis, Bulharské spolky, Svaz Maďarů, Sdružení Němců, Svaz Němců, Detvan,
BONA FIDE, Řecká obec, Společnost přátel Podkarpatské Rusi, Srbské sdružení, Svaz Vietnamců, KSK,
Ruská tradice, DomuS, Romské kluby a Ukrajinská iniciativa Vás zvou na



17. MEZINÁRODNÍ FESTIVAL NÁRODŮ,
NÁRODNOSTNÍCH MENŠIN A ETNIK

PRAHA SRDCE NÁRODŮ

Záštitu převzal velvyslanec SR pan Peter Weiss a ministr pro lidská práva pan Jiří Dienstbier

28.5. – 31.5. 2015

Účinkují:

Szászcsavás band (RO)
Šumadija (SRB)
Mladost (SK)
Rudar (BiH)
Pirin (BG)
Górole (PL)
Njachas (afr.)
Polana (rusin.)
Rosenka (mor.)
Mariachi (MEX)
Trombenik (klezmer)
Dawnsywyr ar Daith (UK)
Shum Davar (GE/SK/CZ)
Slavinskí Aliksandr (BY)
Compañía Flamenkeria (ES)
Nagytarcsai tancegyüttes (HU)

Cosceim (IRL)
Vsacan (mor.)
Matenik (CZ)
Limbora (SK)
Jagory (rom.)
Džereło (UA)
Radost (SRB)
Kitap (tatar.)
Ziriab (arab.)
Divčata (RUS)
Vietnam (VN)
Limborka (SK)
Tatelošhn (žid.)
Piosenki (world)
Aktropolis (GRC)
I. Herák Band (rom.)
a další

Výběr z programů:

28.5. a 29.5. Václavské a Staroměstské nám.: 17:00 Hudebně-taneční soirée
30.5. Václavské a Staroměstské nám.: 13:00 Defilé, 14:00 Roztančené nám.
31.5. Nejsv. Salvátor: 14:00, Divadlo na Vinohradech: 19:00 GALAPROGRAM

www.prahasrdcenarodu.cz

Akci podpořili: HL. m. Praha, MČ Praha 1, MK ČR, MŠMT, ÚSZZ, DNM, TOP Hotel, M. Bjalončík, M. Ondáš, D&M Milowsky, ...

